Rok XXIV. We Lwowie, dnia 18. maja 1917. Nr. 20.

Gazeta Kościelna

Przedpłata: roczna . . 13·— K.
półroczna . 7·— „
kwartalna . 3·50 „
Rękopisów, przyjętych do druku, Redakcya nie zwraca.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi każdego piątku.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya: X. Dr. A. Pechnik, Sykstuska 84.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 30 hal. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

Główne zagadnienie filozofii historyi.

Czy można dopatrzyć się w dziejach ludzkości jakiegoś wewnętrznego związku, jakiejś myśli przewodniej, jakiegoś jednolitego planu, obejmującego ich całość? Zagadnienie to należy do najtrudniejszych i nie można spodziewać się nigdy, że ktoś znajdzie taką na nie odpowiedź, która zadowoli wszystkich. Jeżeli historyk poprzestaje na samem zestawianiu faktów i szukaniu związków przyczynowych, jakie między nimi zachodzą, potrafi w pewnej mierze wytłumaczyć „pragmatycznie“ przebieg dziejów, wykryć pobudki, któremi powodowały się osobistości kierujące losami ludów, przyczyny ich tryumfów lub niepowodzeń, wzrostu lub upadku społeczeństw i wogóle następstwo wydarzeń dziejowych. Ale takie badanie historyi nie może zaspokoić umysłu ludzkiego, któremu narzuca się ciągle pytanie: jaki może być cel ostateczny tych wszystkich trudów, walk i wysileń, po co istnieje ludzkość i dokąd zmierza w swoim pochodzie? A z tem pytaniem łączy się wiele innych: czemu ta ludzkość podzielona jest na tyle narodów, między którymi tak częste powstają zatargi, które zawadzają i szkodzą jedne drugim, albo nawet wytępiają swoich współzawodników, czemu jedne mogą korzystać z różnych szczęśliwych okoliczności, z kierownictwa mężów genialnych, a drugie natrafiają na zbyt wielkie przeszkody w swoim rozwoju i żyją w głuchej martwocie, — czemu najmędrsze zamysły ludzkie niweczy nieraz jakiś nieprzewidziany wypadek, niewczesna śmierć dzielnego władcy, albo burza, rozbijająca potężną flotę, czemu złe pierwiastki biorą zwykle górę nad dobrymi i historya przedstawia tak często obraz chaotycznego zamieszania?[1]).

Wobec tego może nasunąć się nieraz badaczowi historyi wątpliwość, czy wogóle da się w niej odszukać jakaś myśl rozumna, czy nią nie kieruje żądza tylko i namiętność i ślepy przypadek? Są wprawdzie i tacy, którzy widzą w niej ciągły i pocieszający postęp ducha ludzkiego, a w samym tym postępie cel historyi. Jednakowoż ten postęp jest bardzo względny i tylko częściowy. W niektórych krajach Europy i Ameryki podnosi się oświata z każdem stuleciem, wzrasta liczba umiejących czytać i pisać i liczba kształcących się w szkołach wyższych, mnożą się odkrycia i wynalazki, które ułatwiają opanowanie sił przyrody, znikają dawne przesądy, przeprowadza się różne reformy w ustawodawstwie, badania naukowe posuwają się naprzód — tak, iż niejeden sądzi, że ludzkość może być zadowoloną ze swoich zdobyczy i z dumą spoglądać na wieki ubiegłe. Ale z tym postępem w dziedzinie umysłowej nie idzie w parze udoskonalenie moralne, owszem zepsucie obyczajów wzrasta z każdym dziesiątkiem lat w sposób przerażający w krajach, posiadających najwyższą cywilizacyę.

Wielkie pochwały, oddawane czasom naszym przez niekrytycznych wielbicieli „postępu“, nie są w zgodzie z faktami. I tak nazwano wiek 19-y „wiekiem dziecka“ z powodu, że dużo mówiło się i pisało (równie jak mówi się i dzisiaj) o wychowaniu dzieci, tworzono dla nich coraz nowe zakłady itd., ale ci chwalcy pomijali milczeniem niezliczoną ilość zbrodni, których ofiarami w tym samym

---

[1]) Dobrze charakteryzuje pragmatyków Gervinus w słowach następujących: „Odkrywanie odległych pobudek, wydobywanie na jaw tajemnych żądz i skłonności badanie, labiryntów serca i głowy ludzkiej, sprowadzanie czynów ludzkich po subtelnym wątku do ich najgłębszych, lecz tylko ludzkich źródeł, wykazywanie szeregu skutków najbliższych — oto są cechy pragmatyka. Nie dostrzega on, ile to jest rzeczy pod słońcem, których niezliczone pobudki, bliższe i dalsze, wiedzieć można, nie znając ich przyczyny ostatecznej; nie domyśla się, ile to faktów nie da się wyjaśnić za pomocą motywów ludzkich i samowoli ludzkiej; nie widzi, ile to rzeczy zaraz po pierwszem pojawieniu swojem nosi ślady tajemniczego związku z potęgami niewidzialnemi i że tłumacząc wszystko za pomocą drobnych pobudek, najmniejszą miarę przykłada do wielkiego pochodu dziejów świata, według odwiecznego planu uporządkowanych“ (przyt. przez Holzwartha, Historya powszechna, przekład polski, t. I, str. 4).

stuleciu stały się dzieci. We Francyi, w Niemczech, w Stanach Zjednoczonych i w innych krajach używano środków, wzbronionych przez samo prawo natury, żeby zmniejszyć liczbę urodzeń [1]), a miliony ginęły zaraz w pierwszym roku życia po większej części z winy rodziców: w Bawaryi np. umarło w latach 1835—51 na 1000 dzieci ślubnych: 334 chłopców i 279 dziewcząt, na 1000 nieślubnych 383 chłopców i 338 dziewcząt w pierwszym roku życia; w Saksonii w l. 1847—49 na 1000 ślubnych 230, na 1000 nieślubnych 289; w Berlinie na 1000 nieślubnych (1820—43) 354. W latach 1872—78 umierało na 100 dzieci w 1-szym roku przeciętnie: 25,16% w Cislitawii, 29,62 w Bawaryi. Ze zaś przyczyną tej śmiertelności nie było ubóstwo mieszkańców, o tem świadczą już cyfry następujące: w bogatej Wirtembergii umarło w r. 1875 na 100 w 1-ym r. życia aż 33,78 — w bardzo ubogiej Irlandyi tylko 9,49.

W domach podrzutków, które zakłada się dla ratowania dzieci nieślubnych, umiera ich procent ogromny: w Paryżu 47 na 100 (dawniej 66). — W sławnym domu w Moskwie, w którym 8—9 tysięcy podrzutków znajduje przytułek, umarło od r. 1763—1856: 79% tych nieszczęśliwych ofiar „filantropii“ nowoczesnej. Ogromna była także i jest dotąd liczba matek w wielkich miastach, które nie chcą same karmić i wychowywać swoich dzieci, ale oddają je na wieś mamkom: w samym Paryżu czyniło to około r. 1869: 26 do 27 tysięcy corocznie, czyli połowa mniej więcej dzieci ulegała temu losowi [2]).

Wyrafinowana żądza używania, pijaństwo, rozpusta, sprowadzająca najstraszniejsze choroby, które przechodzą na potomstwo [3]), a często i obłęd [4]) — to są objawy bardzo pospolite w krajach najwyżej stojących obecnie pod względem oświaty. A jeżeli do tego dodamy panowanie militaryzmu i okrucieństwa wojenne, okropny rozlew krwi, którego jesteśmy świadkami, wzrastającą z roku na rok liczbę samobójców [1]) — to zaiste będziemy musieli przyznać słuszność tym, którzy sądzą, że nie mamy powodu wychwalać zanadto „postępu ludzkości nowoczesnej“. Dzisiejsze szkoły bezwyznaniowe nietylko nie uszlachetniają dusz młodocianych, ale przyczyniają się do wypaczenia ich rozwoju.

Ale i w dziedzinie umysłowej nie mamy prawa do spoglądania z dumą na wieki ubiegłe, owszem, możemy stwierdzić, że poziom inteligencyi obniżył się poniekąd w porównaniu z czasami, które wydały wielkich myślicieli i twórców umiejętności nowożytnej. Gorzej jeszcze ma się rzecz z poezyą i innemi sztukami pięknemi, bo dzisiejsi poeci, malarze, rzeźbiarze, architekci nie mogą równać się z geniuszami starożytności wieków średnich, albo 16-go i 17-go.

To wszystko powinnoby mocno zachwiać przekonaniem tych, którzy w dziejach ludzkości ciągły widzą postęp i dlatego twierdzą, że one zmierzają z pewnością do jakiegoś wzniosłego celu. Inaczej jednak przedstawia się pochód dziejowy, kiedy główną zwrócimy uwagę na historyę religii: tu postęp jest oczywisty, chociaż jest także tylko częściowy i chociaż w nim napotykamy okresy, w których obniża się bardzo poziom życia duchowego, jeżeli nie wszędzie, to przynajmniej u wielu narodów. Są wprawdzie przeciwnicy chrześcijaństwa, do tego stopnia uprzedzeni, że mu odmawiają wyższości nad pogaństwem, ale ogół badaczy rozsądnych, nawet niewierzących, przyznaje, że ludzkość zawdzięcza nieocenione dobrodziejstwa religii Chrystusowej, która była i jest najpotężniejszą dźwignią cywilizacyjną. Nawet ci, którzy zaprzeczają Bóstwa Zbawicielowi, nie przyjmują całej Jego nauki i chcieliby wymyśleć jakieś nowe zasady moralne, czerpią najlepsze swoje poglądy z etyki katolickiej.

Nie możemy tu zresztą wyłuszczać wszystkich argumentów, którymi apologetyka dowodzi prawdziwości wiary objawionej. Stwierdzamy tylko, że nawet te narody pogańskie, które doszły do najwyższej cywilizacyi, Grecy i Rzymianie, nie mogą się równać pod tym względem z chrześcijańskimi. I one i wszystkie inne pracowały mimo wiedzy swojej i woli dla chrześcijaństwa, które korzystało niezmiernie wiele ze skarbów kultury helleńskiej i z warunków, stworzonych przez pracę oświatową, prawodaw-

---

[1]) Według sprawozdania wiedeńskiego międzynarodowego kongresu statystycznego w Anglii i Wales na 1000 mieszkańców urodziło się żywych dzieci w latach 1871—75 35·5; w roku 1910 już tylko 24·9.

We Francyi w r. 1815—20 na 1000 mieszkańców było 32 urodzin, w r. 1910 tylko 19·6. Francya nie wykazuje wcale bezwzględnego wzrostu ludności, przeciwnie cyfra ludności z r. 1871 zmniejszyła się w r. 1910 o jeden milion.

W Austryi było w latach 1871—75 39·3 urodzin, a w roku 1910 tylko 33·2.

Na Węgrzech w r. 1881—85 44·6, w r. 1900—1910 36·9; w Belgii w r. 1871—75 32·6, w r. 1910 już 23·7; w Norwegii w r. 1856—60 33·3, a w r. 1910 25·9; w Bułgaryi w r. 1906 44·0. w r. 1909—40·6; w Niemczech w latach 1876—80—39·2, a w r. 1910—29·8; we Włoszech w latach 1881—85—37·8, w r. 1910—32·4.

Według wykazu H. Rost'a („Die Kulturkraft des Katholizismus“. Paderborn 1916 str. 108 nn. i tabela IV. na str. 426—436) urodziło się w 338 miastach Rzeszy niemieckiej w latach 1895—1904 przeciętnie 33·3 dzieci żywych na 1000 mieszkańców; — w latach 1905—09: 30·0 a w l. 1910—12 już tylko 25·9. Tu jednak zaznacza się bardzo wyraźnie wpływ wyznania religijnego: najwięcej jest urodzin tam, gdzie przeważa ludność katolicka; — najmniej tam, gdzie znacznie przeważają protestanci, a zwłaszcza ludność tego wyznania poddająca się kierownictwu socyalistów. We Francyi posiadają najwięcej dzieci te departamenty, które są zamieszkałe przeważnie przez ludność katolicką jeszcze wierzącą (Wandei, Bretanii i północne: Rost, str. 119); że katolicyzm wywiera pod tym względem wpływ dobroczynny, to przyznają sami protestanci (ib. str. 120 nn.).

[2]) Oettingen Moralstatistik, str. 709, CVIII., 716. 330.

[3]) W Berlinie n. p. doszło do wiadomości urzędowej w latach 1869—72: 25.530 wypadków kiły (Oettingen l. c. str. 697).

[4]) Ib. str. 671, 673, 675, 678.

[1]) W roku 1900 liczba samobójstw, popełnionych w Niemczech, wynosiła 11.393 a w r. 1910 już 13.935. Liczba samobójstw wśród kobiet wynosiła w 1900 roku 2570 a w r. 1910 3361. Na 100.000 mieszkańców przypadało na r. 1900 20 procent samobójstw a w r. 1910 już 21·6. Pod względem ilości samobójstw pierwsze miejsce zajmuje Hamburg, a po nim księstwo Anhalckie i Berlin. W. Księstwo Poznańskie zajmuje w tej statystyce ostatnią, a więc najkorzystniejszą pozycyę.

Bardzo wymowne to cyfry; najwięcej samobójstw jest tam, gdzie największy upadek wiary chrześcijańskiej i największa demoralizacya: w Hamburgu i Berlinie, — najmniej w Wielkopolsce, chociaż tam największa bieda i najwięcej powodów do rozpaczy. Także w innych krajach katolickich, a w szczególności w ubogiej Irlandyi nie zdarzają się prawie samobójstwa, dzięki zbawiennemu wpływowi religii katolickiej.

czą, administracyjną narodu rzymskiego. Zjednoczenie wszystkich oświeconych narodów w jednem państwie ułatwiło w wysokim stopniu szybkie rozszerzenie się wiary Chrystusowej, a jeszcze daleko więcej przyczyniły się do tego krwawe prześladowania jej wyznawców. Na literaturze klasycznej kształcili się Ojcowie Kościoła i kształci się dotąd cały świat chrześcijański. Dlatego też samo nasuwa się nam przypuszczenie, że z woli Bożej owe narody bezwiednie pracowały dla Kościoła, żeby mu ułatwić pracę oświatową, one zaś same zawdzięczały dużo Egipcyanom i ludom wschodnim.

(Dok. nast.). *X. A. P.*

Nowy polski psałterz Wulgaty.

Nie mylą się chyba ci, którzy twierdzą, że podziwiana przez nas pobożność naszych ojców dlatego była taka jędrna, soczysta i głęboka, bardziej od naszej męska i wytrwała, tkliwa ale nie ckliwa, serdeczna ale nie słodkawa, ponieważ była podsycana i zagrzewana samem słowem Bożem, czerpanem z Pisma świętego, gdyż dawniej w Polsce powszechniej niż obecnie czyniono to, co pisze Długosz (Hist. Polon. ad an. 1399) na pochwałę świątobliwej królowej naszej Jadwigi, która „ad orationem et lectionem divinorum librorum, videlicet Veteris et Novi Testamenti, Omeliarum quatuor Doctorum... et plurimorum aliorum de latino in polonicum translatorum animum et cogitationem intenderat".

Że się dzisiaj już nie uprawia ogólnie czytania „Omeliarum Doctorum", toby ostatecznie można przeboleć. Ale że ustał zwyczaj posługiwania się Psałterzem jako „książką do nabożeństwa, napisaną z natchnienia Ducha świętego (X. Arcybp Symon we wstępie do „Psałterza Dawidowego"), tego trzeba żałować. Gdyby bowiem, jak to illo tempore bywało, „wszyscy umieli na pamięć psalmy, śpiewali je i odmawiali w domu i w podróży, w odpoczynku i przy robocie, w potrzebach publicznych i prywatnych, we wszystkich zgoła wypadkach ważniejszych swojego życia, radosnych i smutnych" (tenże, w przedmowie do swego „Psałterzyka" z r. 1906), to możeby pobożność dzisiejszych pokoleń znowu nabrała tych przymiotów, które św. Paweł przypisuje słowu Bożemu, iż ono jest „żywe i skuteczne i ostrzejsze od wszelkiego miecza obosiecznego; przenika aż do rozdzielenia duszy i ducha, stawów też i szpiku, sędzia jest myśli i zamiarów serca".

A dlaczegoż tak nie jest? Mamy przecie psalmy Dawidowe „de latino in polonicum" przełożone, mamy psalmy Wujka i Kochanowskiego, nie mówiąc już o Karpińskich, Bujnickich, Cylkowach i tutti quanti! Tak, mamy je, a jednak ich nie używamy, lecz posługujemy się raczej książkami do nabożeństwa, które choć są „często bardzo głęboko religijne, piękne i budujące, a jednak nie mają „już tej własności nadprzyrodzonej, jaką posiadają psalmy" (tenże).

Otóż nawet przekład X. Wujka „na dzisiejsze czasy zawiera wiele słów i wyrażeń przestarzałych i dlatego ma swoje trudności, do zrozumienia których potrzeba osobnego przygotowania i nauki" (tenże). Ale czy w owych księgach biblijnych, w których rozczytywały się po polsku z taką lubością Jadwigi, nie było „trudności, do których zrozumienia potrzeba osobnego przygotowania i nauki", trudności może nawet większych aniżeli u Wujka? Niema co wątpić! Ale też dusze Jadwig i Podbipiętów nie były tak „złożone" jak nasze, nie były też tak rozkapryszone i wybredne co do literackich wymagań, a przedewszystkiem: dawniejszy czytelnik psalmów, czego nie dorozumiał, to sobie nadrabiał „mistycznem" uzupełnieniem, albo w pokorze i głębokiej prostocie myśli i serca uchylał czoła przed tajemniczemi głębiami Pisma św., nawet tam, gdzie nie Pismo św., lecz jego tekst ówczesny „głębię tajemnic" zawierał. Dzisiaj jest inaczej. Nowoczesny człowiek nie potrafi się modlić na książce, choćby nawet ze słów Pisma św. ułożonej, jeżeli się mu wszystko nie „układa", jeżeli bodaj drobnostka jest niezrozumiała, niejasna i „ciężka"; a już do modlitwy nie będzie chciał używać psałterza, w którym „myśli psalmisty często bardzo doszukiwać się trzeba z niemałym trudem i mozołem" (tenże).

Żeby więc „ułatwić dla ogółu wiernych zrozumienie psalmów i tym sposobem wskrzesić dawny zwyczaj częstego odmawiania ich", J. E. X. Arcybiskup już w r. 1906 wydał w Rzymie „niektóre z nich, przełożywszy je na nowo z języka hebrajskiego z należytem uwzględnieniem tak Wulgaty łacińskiej jak i przekładu polskiego X. Wujka". Dzisiaj przychodzi nam przywitać wdzięcznie i mile nową pracę Dostojnego Autora p. t. „Psałterz Dawidowy". Dla użytku wiernych z Wulgaty na nowo przełożył X. Franciszek Albin Symon, arcybiskup. Z dodaniem kilku pieśni biblijnych i niektórych modlitw powszechnie używanych". Kraków 1917. Czcionkami Drukarni „Głosu Narodu", nakładem X. Dra Karola Nikla (XXXII + 304 str.) in — 16°. Cena egz. opr. w płótno z czerwonym brzegiem K 3·— przesyłką poleconą 40 h, więcej. Skład główny w księgarni A. Piwarskiego i Ski w Krakowie, ul. św. Jana.

Czcigodny Nestor polskich biblistów i wielki mocarz ojczystej mowy, o której niewiadomo, co powiedzieć, czy że ona jemu bardziej powolna, lub też on bardziej posłuszny jej duchowi, skoro pod jego piórem tyle rozwija krasy i powabu, jędrności i tężyzny tyle, tym razem nie przekładał z hebrajskiego, lecz z Wulgaty, ale, jak w r. 1906., tak i teraz „Psałterz" przeznaczył „dla użytku wiernych, nie dla krytyków i uczonych badaczów Ksiąg świętych", choć tego ostatniego zastrzeżenia już niema w przedmowie do obecnego wydania. Zdaje się jednak, że Autor i tym razem także miał w pierwszym rzędzie na myśli „dusze pobożne, szukające w modlitwie pociechy i światła z nieba", do których mogą oczywiście należeć także „krytycy i uczeni badacze Ksiąg świętych". Tylko że ci ostatni nie mają widocznie powodu zajmować się „Psałterzem" ze stanowiska krytyki biblijnej i uczonego badania Ksiąg świętych.

Psałterzyk z r. 1906. powstał z hebrajskiego, gdyż „wątpliwości nie ulega, że owo powszechne wśród wiernych zobojętnienie dla Psalmów w znacznej części przypisać należy ciemnym i mało zrozumiałym przekładom ich na języki nowożytne. Przekłady te robiono zwykle z Wulgaty łacińskiej, to jest z tego przekładu Pisma

świętego, który z pomiędzy mnóstwa innych tłumaczeń łacińskich, jeden tylko został od Kościoła uznany za autentyczny i uroczyście potwierdzony. *W Wulgacie tej atoli* obok ksiąg świętych Starego Testamentu, przełożonych wprost z języka, w jakim one napisane były, t. j. z hebrajskiego, *znajdują się i takie, które przetłumaczone zostały z języka greckiego*, do których należy *właśnie Psałterz Dawidowy. Tłumaczenie to nie odznacza się bynajmniej ani jasnością ani poprawnością języka. Myśl psalmisty wogóle wyraża wiernie, tylko że tej myśli często bardzo potrzeba doszukiwać się z niemałym trudem i mozołem.*.. *Przekład*... *X. Jakóba Wujki* (sic — lapsus calami) *ponieważ dokonanym został z Wulgaty łacińskiej*..., *dlatego podobnie do samej Wulgaty, ma swoje trudności, do zrozumienia których potrzeba osobnego przygotowania i nauki. Otóż pragnąc ułatwić* dla ogółu wiernych *zrozumienie* chociażby pewnej części *Psalmów*..., wybrałem niektóre z nich — stwierdza Autor we wstępie — i dla użytku prywatnego wiernych *przełożyłem je na nowo z języka hebrajskiego* [1]) z należytem uwzględnieniem tak Wulgaty łacińskiej jak i przekładu polskiego X. Wujki (sic). Jakkolwiek bowiem tekst Psalmów hebrajski jest ich tekstem pierwotnym, wszelakoż w tej formie, w jakiej posiadamy go dzisiaj... ustępuje on nieraz przekładowi greckiemu... z którego... zrobiono tłumaczenie łacińskie, zachowane aż dotąd w naszej Wulgacie".

Z tych słów wynika, że w r. 1906 J. E. X. Arcybiskup był za stworzeniem polskiego psałterza raczej z tekstu hebrajskiego, z należytem wszelako uwzględnieniem Wulgaty, którego się domagają względy naukowe, oraz z uwzględnieniem X. Wujka, wskazanem względami na polską tradycyę językową. Dostojnym Autorem powodowało wtedy słuszne, bądź co bądź, poczucie i sumienie naukowe, że psałterz polski wtedy będzie psałterzem Dawidowym czyli biblijnym, jeżeli zasadniczo będzie odtworzeniem tekstu hebrajskiego (niekoniecznie w formie Masoretów), a Wulgata będzie w nim jedynie „należycie" uwzględniona.

Co spowodowało zmianę tego stanowiska w obecnym „Psałterzu", przełożonym z Wulgaty, niewiadomo. Może się to stało pod wpływem takiego rozumowania: Wulgata jest tekstem autentycznym Kościoła łacińskiego, nią należy się posługiwać „in (omnibus) [2]) publicis (privatisque[2]) lectionibus, disputationibus, praedicationibus et expositionibus (explanationibus) [2]), więc przekład „dla użytku wiernych" powinien być zrobiony z Wulgaty [3]).

Przyznaję, że nie mogłem się nigdy zdobyć na zupełną wiarę w to rozumowanie, bo nie widzę racyi, dlaczegoby nowe przekłady Pisma św. musiały być robione podług Wulgaty dlatego, że Sobór Trydencki orzekł, iż „ex omnibus *latinis editionibus, quae circumferuntur* [1]), (w czasie Soboru)... vulgata... pro authentica habeatur".

Uwzględniać przy tłumaczeniu Wulgatę owszem, ale ją uczynić punktem wyjścia przy tłumaczeniu na język nowszy? Przecież ona, mimo swego charakteru autentyczności zawsze jest tylko — przekładem, choć bardzo dobrym i naukowo wysoce uzasadnionym, a przekładów nie robi się z przekładów, przynajmniej z reguły, jeżeli się ma oryginał, lub do oryginału można dotrzeć. Oryginał, choćby był tylko tej wartości, co nasz tekst Masoretów, do każdego przekładu, choćby on był tak znamienity jak Wulgata, zawsze będzie rościł pewne pretensye pierwszeństwa. Zresztą dziś bibliści wiedzą na ogół dość dobrze, co myśleć i co zrobić w danym wypadku z tekstem Masoretów, czyli *ta* forma tekstu oryginalnego nie jest obowiązująca, a mimo to zawsze można będzie powiedzieć: nie jesteśmy bez tekstu oryginalnego Starego Testamentu, a to przy pisaniu przekładów nowych trzeba będzie — co najmniej — uwzględnić, żeby się wyrazić możliwie najskromniej. — Mnie się ciągle zdaje, że ex re przekładów — z Wulgaty, nie z Wulgaty — i ex re dekretu trydenckiego najlepiej będzie pozostać przy tem, co mówi ten dekret, bez dodania do niego w myśli i w czynie rozporządzenia, którego w nim niema, a które brzmiałoby mniej więcej tak: „novaeque Bibliorum versiones in linguas vernaculas ne conficiantur nisi ex Vulgata". Jeżeli tu popełniłem jaką „herezyę", to oświadczam solennie, iż się jej z góry wyrzekam, odwołuję, żałuję, ale się spodziewam, że powołani zabiorą głos w dyskusyi na ten temat i albo mnie pouczą, żem zbłądził, twierdząc, iż jak wszystkie inne teksty obce przekłada się o ile możności z oryginału, a nie z innych przekładów, tak też *zasadniczo* i z reguły przekłady Pisma św. na nowsze języki winny się odbywać z oryginału, a nie z innych przekładów, oczywiście servatis servandis, albo zasadę tę przystosują do przyszłych przekładów Pisma św., szczególnie Starego Testamentu.

Komu jednak w tej sprawie chodzi nie tyle o dekret Soboru Trydenckiego, ile o sam fakt *powszechnego używania* w Kościele rzymskim psałterza Wulgaty, ten, przeznaczywszy polski psałterz *dla użytku wiernych*, a w tej liczbie przedewszystkiem dla kapłanów i tych wszystkich, którzy *odmawiają Brewiarz*, musi dać im psałterz Wulgaty w polskiej szacie. W takim razie chodzi już tylko o to, żeby tak homines ecclesiastici, którzy odmawiają psalmy po łacinie — wzięte prawie bez wyjątku z Wulgaty łacińskiej — ale mimo wysiłków nie rozumieją dość sporego procentu ich tekstu, jakoteż szczególnie ci de plebe fidelium, którzyby chcieli śledzić psallentem Ecclesiam, dostali do rąk środek pomocniczy. Kwestya tak postawiona i ujęta wychodzi już poza ramy dyskusyi nad problemem stosunku nowszych przekładów *psałterza biblijnego* — w całej objętości tego przedmiotu — do Wulgaty i tekstu oryginalnego. Do tej dyskusyi „Psałterz" z r. 1917 bezpośrednio nie daje powodu i zbytecznem jest badanie powodów, dla których tym razem przekładano psalmy raczej z Wulgaty niż z hebrajskiego. Daje jednak

---

[1]) Podkreślenia te pochodzą od referenta.

[2]) Tekst bulli Sykstusa V. w nawiasach; poza nawiasem tekst dekretu Sob. Tryd. sess. IV.

[3]) Prędzejbym się pisał na takie ujęcie tej sprawy, jak to uczynił X. Prof. Szczepański (Cztery Ewangelie. II. Przekład i komentarz, XXVII.: „Ze względów kościelnych (?) trzeba bowiem było obok tekstu greckiego n i e s p u s z c z a ć z o k a W u l g a t y (podkreśliłem sam, bo takie wyrażenie odpowiada mojem zdaniem faktycznemu stanowi sprawy), którą — jak wiadomo — Sobór Trydencki uznał za urzędowy (?), autentyczny tekst Kościoła rzymskiego" (drugi ten znak pytania z powodu tego, co mówi K a u l e n, Geschichte der Vulgata, Mainz, 1868, str. 455/6).

[1]) Podkreślenia są odemnie.

ten powód porównanie „Psałterza“ z „Psałterzykiem“ z r. 1906, od którego trudno mi było uchylić się. Bo kiedy w przedmowie z r. 1906 przeczytałem, że 1°) nawet najlepszy z dotychczasowych przekładów psałterza, Wujków, trzeba było przecież zastąpić przekładem nowym; że 2°) potrzeba ta zachodzi dlatego, „ponieważ dokonanym został (przekład X. W.) *z Wulgaty łacińskiej i... dlatego podobnie do samej Wulgaty ma swoje trudności*, do zrozumienia których“... (j. w.); że 3°) dla ułatwienia ogółowi wiernych zrozumienia Psalmów przełożono je wówczas z języka hebrajskiego, powiedziałem z wielką radością w skrytości serca mego do duszy mojej, że przecież „ktoś“ podobnie jak ja myśli o stosunku Wulgaty do tekstu „oryginalnego“ z jednej i do nowego przekładu z drugiej strony i na odwrót, czyli: aby odsłonić jako tako zrozumienie psalmów biblijnych, przecież nie dość pójść za ich formą w Wulgacie. Przyczem ani cień podejrzenia nie padł nigdy ani nie pada w oczach moich na psałterz Wulgaty: owszem, cenię ją, bo cenić muszę „cum omnibus sanctis“ raz jako tekst psalmów autentyczny — w rozumieniu Soboru Trydenckiego, — a następnie jako bardzo czcigodny pod względem literackim, krytycznym, naukowym, i w. i. pomnik starożytności chrześcijańskiej,[1]) co mi jednak nie zabrania nie uważać wszystkiego w niej za najdoskonalsze.

Spostrzegam jednak, żem się zapędził w dziedzinę, zastrzeżoną dla „krytyków i uczonych badaczów Ksiąg świętych“, dla których J. E. X. Arcybiskup nie pisał „Psałterza“, żeby się wypowiadali ze swojemi mniej lub więcej „pia“ desideria. Dostojny Autor raczy mi darować, że skorzystałem z ukazania się „Psałterza“, żeby lekko zawadzić o „uczonych krytyków i badaczów“

Lepiej byłbym zrobił, gdybym odrazu dla użytku PT. Czytelników zwrócił uwagę na to, o ile „Psałterz“ rzeczywiście „ułatwia dla ogółu wiernych zrozumienie Psalmów“ i o ile w porównaniu z dotychczasowym polskim tekstem psalmów usuwa trudności ich zrozumienia i „potrzebę osobnego przygotowania i nauki“. Najlepiej okazałoby się to przez przeciwstawienie przekładu Wujkowego tekstowi „Psałterza“.

(Dok. nast.). *X. Jan Korzonkiewicz.*

O Sienkiewiczu kilka uwag.

Sienkiewicz z wszystkich prozaików naszych najbardziej przypomina Mickiewicza: czem ten w poezyi, ów stał się nam w prozie. Jeden i drugi ma tę szlachetną naturalność, prostotę, co nie jakimś barokowym, sztucznością trącącym, wysiłkiem, ale jakby po prostu, naturalnie przemawia do nas, a mimo to, czy raczej dlatego właśnie wywołuje potężne wrażenie estetyczne. To też stanowi wielkość największych artystów; czy to będzie twórca Madonny Sykstyńskiej, czy Apollina Belwederskiego, albo Ifigenii lub Hermana i Doroty.

„Słów nie dobieram, rymów nie składam“..., co nie znaczy bynajmniej, jakby to z pod pędzla czy pióra twórcy wyszło bez trudu, bez wysiłku artystycznego; to nie żadna improwizacya, jak nam się czasem wydaje, to praca twórcza, nieraz żmudna i długa; tylko twórca tych arcydzieł miał w czasie tworzenia przed oczyma duszy wzniosły ideał prostoty, naturalności i nim ożywiony wyrzeźbił te cudne postaci czy obrazy, które jak żywe stają przed nami bez cienia pozy czy sztuczności i tem właśnie nas wzruszają i zachwycają, że wielka myśl, potęga uczucia, czy samo piękno kształtów idzie w parze z prostotą, naturalnością — jak to widzimy w tem arcydziele Arcymistrza, jakiem jest natura, dzieło Boga samego — gdzie czy to w malowniczym krajobrazie jeziór włoskich, czy w naszym skromnym polskim obrazku jesiennym, gdzie to barwa do barwy łagodną harmonią się dostraja wśród pól i lasów, łącząc się w zgodny akord z bladym, jakby równie jak cała natura sennym kolorem nieba: zawsze to wrażenie piękna ma w sobie charakter czegoś dziwnie „naturalnego“.

Niezawsze sobie z tego zdajemy sprawę, że jak w języku słowo: „naturalny“ wzięte jak z natury, tak w sztuce czy poezyi ta natura, dzieło Boga, jest pierwszą dla nas szkołą piękna, harmonii, a najwięksi artyści to ci właśnie, którzy tę naukę najlepiej zrozumieli. Należą tu u nas w pierwszym rzędzie obaj nasi najwięksi pisarze wieku niewoli: Mickiewicz i Sienkiewicz.

Jak do Mickiewicza charakterystycznym kontrastem jest Słowacki, tak do Sienkiewicza Żeromski, także pisarz wielkiej miary; ale do swych istotnie silnych efektów jakże on innymi dochodzi środkami niż Sienkiewicz! Ile w samym języku jego nadzwyczajności, jak tam czuć ten wysiłek — wprawdzie trudno powiedzieć z poetą niemieckim: „Man fühlt die Absicht und man ist verstimmt“, — bo autor nie popada w sztuczność za daleko idącą, owszem jest tam sporo żywiołowej siły, jak u Słowackiego; ale obok Mickiewicza i Sienkiewicza oni obaj tracą; nie widzimy w nich tego, co esteta niemiecki tak pięknie nazwał: „stille Grösse“. My Polacy mamy to w pojęciu negatywnem, gdy mówimy, że ktoś się stroi niefortunnie w „krzyczące kolory“. Otóż u wielkich artystów, jakimi są twórcy Pana Tadeusza, Ifigenii czy Potopu, niema nic „krzyczącego“; piękno przemawia tu do nas spokojnie tą swoją cichą wielkością — „stille Grösse“.

Dziś w wieku nerwów nie brak ludzi, którzy wolą ów inny rodzaj wielkości czy efektów estetycznych; stąd kult Słowackiego za dni naszych, stąd i ostre napaści na Sienkiewicza, któremu nawet zarzucono kult czy zgoła apoteozę „wszystkiego, co przeciętne“! Dosłownie tak zarzut wzięty to poprostu paradoks. Nie jest „przeciętnym“ ani Kmicic, ani Bohun, ani Petroniusz, ani św. Piotr, ani nawet ów bohater młodociany Staś w „Pustyni i Puszczy“, dokonywający rzeczy, na jakie ktoś „przeciętny“ nawet w wieku męskim się niełatwo zdobędzie! Ale w tym zarzucie tkwi co innego: jest to przyznanie się pewnych widocznie anormalnych jednostek, iż są poprostu niezdolne do poddawania się tym wrażeniom estetycznym, jakiemi nas raczy autor Potopu i Quo Vadis. Ta cicha wielkość prawdziwie wielkiego artysty nie przemawia do nich. Oni potrzebują dla swych stępionych nerwów efektów głośniejszych, krzyczących, w jakie obfituje właśnie Żeromski i cała plejada mniejszych znacznie od niego

---

[1]) Swój stosunek do psalmów Wulgaty i do Wulgaty wogóle wyraziłem w „Gaz. Kość.“, Nr. 11 z r. 1912, str. 126 n.

a równie jak on nerwowych, niezrównoważonych, mniej lub więcej chorych jednostek.[1])

Otóż Sienkiewicz to człowiek zdrowy, zupełnie jak Mickiewicz. Chorobliwość niektórych naszych nowszych pisarzy jego oburza: „Bo widzisz — mówi w swych „Wirach“ — może się zdarzyć, że komuś gnije mózg, tak jak ludziom chorym na suchoty gniją płuca. Ale nikt nie ma prawa karmić narodu zgnilizną swoich płuc lub swego mózgu. A takich jest teraz wielu“...

Sienkiewicz, powtarzam, to człowiek zdrów jak Mickiewicz, stąd jak on bierze z życia przedewszystkiem to, co zdrowe, pogodne, dobre. Wprawdzie jeden i drugi miał w młodości chwile pesymizmu, tam w IV części Dziadów, tutaj w nowelkach młodocianych jak: „Za chlebem“. Ale niebawem zdrowie zwyciężyło i główne ich dzieła tchną pogodą, często weselem, a zawsze zdrowiem. Nie są oni naiwnymi optymistami, zamykającymi rozmyślnie oczy na zło, na smutne, bardzo smutne strony życia; oni to zło widzą i przedstawiają, potępiając je, jak na to zasługuje; ale pociąga ich więcej dobro, światło, pogoda życia. Człowiek, który woli szarugę i błoto od słonecznego błękitu, to człowiek chory. A ci dwaj nasi najwięksi pisarze to ludzi zdrowi, stąd i w dziełach ich tyle zdrowia, tyle pogody, nawet wesela.

Na tę wesołość obu warto też zwrócić uwagę; prawda, że ona jest w psychice narodu polskiego, z którego obaj pisarze wyszli i którą to psychikę z natury rzeczy reprezentują. Im pisarz mniej jest pogodny, mniej zdolny do tego wesołego uśmiechu, tem mniej jest typowo polskim. Na przykład w Żeromskim, Berencie i tylu innych dusza polska w wysokim stopniu uległa wpływowi destruktywnemu miazmatów Wschodu — Rosyi Turgeniewów, Dostojewskich, Gorkich. Smutek, pessymizm jest jedną z istotnych cech Wschodu; tam nawet religia, która winna być przecie pociechą życia, jest pełna tego smutku, tej fatalistycznej beznadziejności, jaką tchną najrozmaitsze, a tak dziwaczne sekty rosyjskie — podobnie jak inne religie Wschodu z Buddyzmem na czele. Ten to pessymizm uczynił narody Wschodu zdolne przecie z natury do postępu, nieproduktywnymi, pozbawił je energii czynu, uczynił je niewolnikami Europy. Przeciwnie kultura Zachodu wykwitła na żyznej niwie optymizmu, pogody ducha, wiary w dobro i ostateczne zwycięstwo tego dobra na świecie.

Otóż nasi wielcy pisarze tej pogody mają wiele w duszy, a więc i w dziełach; a nierzadko przejawia się ona wesołością serdeczną, przemiłą okrasą najpoważniejszych z ich dzieł. Wszakże to nawet wśród tych katowanych za świętą sprawę więźniów celi wileńskiej po przez łzy skrzą się wesołe dowcipy; a ile tego elementu wesela w całym Panu Tadeuszu! Sienkiewicz nie pozostał tu w tyle za wielkim swym poprzednikiem: wesela, śmiechu pełno u niego. Wystarczy wymienić genialną kreacyę w postaci Zagłoby. Zdumiewa on już samem bogactwem swego humoru. Przez trzy tak długie powieści tak często wprowadzać tę samą postać komiczną i nie uczynić jej nudną, albo niesmaczną: to naprawdę artyzm niepospolity i bogactwo pomysłu zdumiewające. Ale ta postać ma jeszcze coś, czem budzi podziw dla pisarza. By tę zaletę zrozumieć, porównajmy tę kreacyę z pokrewną jej, która też służyła Sienkiewiczowi za wzór — z Falstafem Szekspira. Falstaf to bajecznie komiczna postać, ale to tchórz zawsze i wszędzie; budzi on śmiech, ile razy się pokaże, ale nie budzi szacunku, zwłaszcza że prócz tchórzostwa cięży na nim wiele innych wad; toż Henryk, Książę Walii, gdy, zostawszy królem, postanawia zmienić do gruntu swe życie, odwraca się ze wstrętem od swego wesołego towarzysza zabaw, wyrzucając mu, że był „przewodnikiem i wodzem rozpusty“:

„Lecz od tej chwili, pod obawą śmierci.
Jakem już przegnał i twoich wspólników,
Nie śmiej się zbliżać do naszej osoby
Jak o mil dziesięć!“

(Król Henryk IV, część druga, V 5)

Zbliża się więc Falstaf do komicznych postaci z komedyi, które bawią i śmieszą, ale nie pociągają, choć różni się od nich tem, że sam jest zadowolony, wesół, ma ów niezrównany humor — którego pełno i u Zagłoby — ale którego nadarmo szukalibyśmy u Skąpca, Świętoszka; na dnie duszy bohaterów molierowskich leży smutek nieraz tragizm po prostu.

Bo wcale nie jest przypadkowem to zjawisko psychiczne, że komedyopisarze i komicy tak często bywają melancholikami, ludźmi nieszęśliwymi. Ich sztuka nie daje im samym tego wesela, którem tak hojnie darzą innych. Szczęśliwsi, pogodniejsi byli ci, co na scenie do łez nas wzruszają. I nie jest to zjawisko tak dziwnem, jakby się wydawało: jak malarz jest wrażliwy na barwy, muzyk na tony, tak komedyopisarz czy komik — aktor jest wrażliwy na śmieszności ludzkie; te śmieszności uderzają go przedewszystkiem jako dominujący rys duszy, ba, poniekąd życia ludzkiego; on tę śmieszność widzi i odtwarza — ale zastanówmy się chwilę nad tem, co dziać się musi w duszy takiego obserwatora; bo i cóż smutniejszem: czy widzieć człowieka pełnym poważnych trosk, budzących współczucie cierpień życiowych — czy też widzieć tego „pana stworzenia“ śmiesznym, mówię: śmiesznym, nie: wesołym, bo bohaterowie wielkiej komedyi, zwłaszcza Moliera[1]), to nie ludzie weseli, ale to ludzie

[1]) Humorystyczną edycyę tego samego objawu pamiętam z czasów moich akademickich, kiedy to (przed 20 laty) roiło się w Krakowie od wielbicieli (oczywiście młodych wiekiem jak umysłem) Przybyszewskiego i jego maniery. Nie trudno było wtedy spotkać się z młodocianymi literatami, którzy z całą powagą wygłaszali zdanie, ze „Pan Tadeusz“ to „ramota“, „rzecz ot sobie na kolanie pisana“ i t. p. I nie było to udane; ci ludzie naprawdę do tego stopnia zdeprawowali sobie zmysł estetyczny, że stracili zdolność odczucia tej „cichej wielkości“, którą tchnie arcydzieło naszej literatury.

[1]) W tak dorywczym szkicu nie chcę obszernie omawiać komizmu u naszego Fredry; zauważę tylko, że komizm tego komedyopisarza wydaje mi się pośrednim między humorem Sienkiewicza (bo nie jeden Zagłoba go reprezentuje, pełno go i w innych dziełach), a komizmem Moliera; Fredro jest na ogół znacznie pogodniejszym, mniej pessymistą, zwłaszcza o całe niebo pogodniej, łagodniej się patrzy na kobietę — u Moliera roi się od ostrych napaści na ród niewieści, których z tem zacięciem sarkastycznem nie znajdujemy u Fredry; a wreszcie Fredro nigdzie nie zaczepia religii, podczas gdy Molier w swym Świętoszku, a tem bardziej Don Juanie niedwuznacznie okazuje się wrogiem religii objawionej i dziś zgodnie jest uważany za jednego z nielicznych poprzedników wolteryanizmu

śmieszni; ich śmieszność nas bawi, nas rozwesela, ale nie ich przecie, a często i nie ich otoczenie, które z ich śmieszności cierpi, nieraz cierpieniem zupełnie tragicznem.

Otóż Zagłoba nie ma nic z postaci komicznych wyśmiewanych, ale i piętnowanych przez komedyopisarzy. My się z Zagłoby nie wyśmiewamy, on nie budzi w nas wstrętu jak Skąpiec; on nas bawi jak bawił całe swoje otoczenie, a nadto nas pociąga, budzi sympatyę, bo jeśli woli „fortelem“ z trudnego wybrnąć położenia aniżeli życie narażać, to jednak, gdzie trzeba, spisuje się mężnie, a po śmierci przyjaciela (Podbipięty) dokazuje cudów waleczności; ma on obok pewnych wad tyle sympatycznych, nawet wielkich zalet charakteru — jak poświęcenie dla przyjaciół — że bawiąc nas, równocześnie chwyta za serce — i to połączenie humoru z wartością moralną stanowi szczególny wdzięk Zagłoby i czyni tę kreacyę jedną z ciekawszych w literaturze świata.

Zauważmy nawiasem, że Chilon już takim nie jest; on (przed nawróceniem rzeczywiście) jest ogromnie zabawny, ma humor, jest zadowolony z siebie i, o ile mu się jako tako wiedzie, zadowolony z losu; ale osobiście sympatycznym nie jest; jest to po prostu pełen komizmu rzezimieszek, którem to połączeniem humoru z małą wartością moralną zbliża się do szekspirowskiego Falstafa.

Wracając do paraleli Sienkiewicza z Mickiewiczem, która dałaby się przeprowadzić szczegółowo, — uderza tu przedewszystkiem podobieństwo dwóch postaci mianowicie Kmicica i Ks. Robaka. Obaj z zawadyaków, myślących tylko o sobie, stają się bohaterami, kładącymi wszystko na ołtarzu ojczyzny, obaj zmieniają nazwisko, tak że ludzie, podziwiający ich czyny, nie wiedzą nawet, kogo mają przed sobą — nadewszystko jednak charakteryzuje ich inna cecha wspólna, mianowicie, że nawrócenie ich na dobrych Polaków zaczęło się nawróceniem na dobrych chrześcijan — katolików i na tem nawróceniu jako na naturalnej swej podstawie się oparło. Nawrócenie i bohaterstwo obu to żywa illustracya hasła: „Dla Boga i Ojczyzny“ i drugiego: „przez Boga do Ojczyzny“; obaj uczą,

„Że do Polski, jak do Pana,
Iść się musi drogą jedną,
Tą, co nigdy nie skalana“,

jak tego uczy najgłębszy z naszych poetów Zygmunt Krasiński, ten, który problem religijny najgłębiej przemyślał i najpiękniej opromienił. *M. Paciorkiewicz.*

(Dok. nast.).

w wieku Ludwika XIV. Oczywiście i Fredrze nie brak tego satyryczno-pessymistycznego elementu, który stanowi jedną z głównych cech komedyi; właśnie czytam głębokie studyum Ign. Chrzanowskiego p. t. „Jowialski symbol“ (Głos Narodu z d. 7. IV. 17), a w niem bardzo charakterystyczną wiadomość z życia Fredry, który „będąc kiedyś na przedstawieniu Pana Jowialskiego we Lwowie, tak bardzo się oburzył wesołym śmiechem publiczności, że opuścił lożę przed końcem przedstawienia, mówiąc z goryczą: Z czego się oni śmieją“?

KRONIKA KOŚCIELNA.

Towarzystwo św. Stanisława Kostki. Ostatnie sprawozdanie tego Towarzystwa było drukowane jeszcze za rok 1913. Od tego czasu wiele się zmieniło na ziemiach Polski. I Stowarzyszenie przeszło ciężkie chwile. Obecnie zdaje w krótkości sprawę z trzech lat, tj. 1914 1915 i 1916. Czas ten w życiu Towarzystwa można podzielić na 3 okresy: 1) rok 1914 do końca lipca, tj. do wybuchu wojny, 2) czas inwazyi rosyjskiej, tj. od pierwszych dni września 1914 do 22. czerwca 1915, 3) od powrotu wojsk austryackich do Lwowa aż do końca 1916 roku.

W pierwszym okresie działalność w Towarzystwie rozwijała się pomyślnie — praca kwitnęła jak w latach poprzednich, dość powiedzieć, że liczba chłopców, korzystających z opieki, przekroczyła 300, a między tymi było około 60 czeladników. W bursie było 66 wychowanków, tak że wszystkie miejsca były zajęte. Ponieważ wielu czeladników, terminatorów i handlowców zgłaszało się z prośbą o przyjęcie do bursy, przeto Zarząd Tow. postanowił otworzyć drugą bursę dla młodzieży, zajętej w handlu lub uczęszczającej do szkoły przemysłowej. W tym celu odrestaurowano i przeprowadzono odpowiednie adaptacye w domu przy ul. Łyczakowskiej l. 121. Na pokrycie tych wydatków urządzono 28. czerwca na placu powystawowym festyn, który dzięki pięknej pogodzie i poparciu osób życzliwych Towarzystwu, wypadł wspaniale i przyniósł 1975 koron 80 hal. czystego dochodu.

W miesiąc potem wybuchła wojna — ta plany Zarządu Tow. pokrzyżowała a młodzież rozprószyła. Na głos trąbki wojennej pospieszyła młódź nasza na pole walki, jedni, zwłaszcza młodsi, wstępując do Legionów, drudzy, starsi w szeregi armii. Młodzież szła ochoczo, pomna na słowa, słyszane nieraz w Stowarzyszeniu, że kiedy padnie hasło walki o wolność Polski, mają porzucić rodziny, warsztaty i sklepy, a spieszyć tam, gdzie ojczyzna woła! Ponieważ większość społeczeństwa polskiego odczuła już z początku wojny, że w tej wojnie i losy Polski się rozgrywają — więc młodzież nasza pospieszyła z zapałem do walki z wrogiem za Wiarę i Ojczyznę! Sala zebrań i bursa opustoszały, zostali tylko najmłodsi.

Przyszła inwazya rosyjska, a z nią zakaz zebrań publicznych. Praca Tow. ograniczyła się do utrzymania bursy, w której liczba stałych wychowanków dochodziła do 22. W bursie znajdowali także przytułek ci wychowankowie, którzy chwilowo byli bez zajęcia i środków do życia. W niedziele popołudniu wypożyczano chłopcom z biblioteki Tow. książki do czytania. Stan ten trwał aż do końca czerwca r. 1915.

Kiedy pamiętnego dnia 22. czerwca tego roku ustąpili Rosyanie ze Lwowa, odżyło Towarzystwo, ale równocześnie reszta dorastającej młodzieży wstąpiła albo do wojska austryackiego albo do Legionów. Z tymi, co poszli, utrzymują Opiekunowie stałą korespondencyę. W listach dawnych wychowanków obok uczucia serdecznej miłości ojczyzny i sprawy polskiej, przebija się wielkie przywiązanie do Towarzystwa i tęsknota za niem. Jeśli który z nich przejeżdża przez Lwów, wstępuje bodaj na kilka godzin do Tow., a wielu spędza czas urlopu w bursie, gdzie znajduje i serce życzliwe i utrzymanie jak w domu rodzinnym. O kilku wychowankach doszła nas smutna wiadomość, że dostali się do niewoli, o kilku, że zginęli śmiercią bohaterską, zostawiając żal po sobie i pamięć w Towarzystwie, a pociechą jedyną to przekonanie, że walczyli i zginęli za ojczyznę i że Bóg najsprawiedliwszy, gdy przyjdzie dzień obrachunku, policzy też mogiły naszych wychowanków i że przelana krew młodzieży rzemieślniczej pomieszana z krwią bratnią innych stanów, zaważy na szali sprawiedliwości i stanie się „posiewem wolności“.

Dnia 6. października 1915 r. rozpoczęto zwyczajne niedzielne zebrania młodzieży, jak przed wojną bywało.

P. Bóg za przyczyną Królowej Korony Polskiej i Patrona św. Stanisława pobłogosławił podjętym na nowo usiłowaniom; młodzieży na sali przybywało, a z nią i pracy, pracy nieraz ciężkiej i żmudnej, ale pożytecznej.

Rodzice i majstrowie posyłali chętnie chłopców do Towarzystwa i z zaufaniem zwracali się do Biura pracy przy Towarzystwie w sprawie wyszukania lub umieszczenia chłopców w terminie lub handlu. Liczba chłopców na sali z każdą niedzielą wzrastała, tak, że w dzień Patrona św. Stan. Kostki rano do Komunii św. przystąpiło 75 wychowanków — popołudniu urządzili pierwszy wieczorek na cześć Patrona Towarzystwa, a z końcem roku 1915 liczba zapisanych do Towarzystwa wynosiła 130 wychowanków.

Z biblioteki Towarzystwa w latach 1914 i 1915 wypożyczyło 125 wychowanków 3653 książek.

Suma wydatków za rok 1914 wynosiła 21.034 kor. 85 hal.

Suma wydatków za rok 1915 wynosiła 7.634 kor. 73 hal.

Rok 1916 był dla Towarzystwa rokiem normalnym, o ile mógł być takim w czasie obecnej wojny. To też, jak po inne dawniejsze lata, praca Tow. była dwojakiego rodzaju — innej bowiem opieki potrzebowali ci chłopcy, którzy mieszkali u rodziców lub majstrów i tylko w niedziele i święta zgromadzali się w lokalu Tow., a innej ci wychowankowie, którzy mieszkali w bursie Tow. Liczba chłopców zapisanych w tym roku do Tow. wynosiła 372, z których 20 mieszkało w bursie.

Na zebraniach niedzielnych w sali Tow. bywało przeciętnie 140—160 wychowanków.

Obraz takiego zebrania przedstawia się następująco: Około godz. 3. popołudniu zbierają się chłopcy w sali, gdzie spędzają czas na swobodnej rozmowie lub zabawie w różne gry pokojowe, albo też przeglądają tygodniki i czasopisma ilustrowane. Około 4. godz. jest wspólna modlitwa i krótka nauka treści religijnej, potem śpiewają pieśni religijne i narodowe, czasem bywa odczyt lub wykład popularny i przedstawienie amatorskie. W międzyczasie wypożyczają książki z biblioteki Tow., składają pieniądze do kasy oszczędności, zasięgają u Opiekunów porady w rozmaitych sprawach. Około 8. godz. wieczorem kończy się zebranie modlitwą i skromnym podwieczorkiem. W lecie — o ile sprzyja pogoda — udaje się młodzież wraz z Opiekunami poza miasto, gdzie spędza czas na zabawie w gry sportowe, a wieczorem wraca do lokalu Tow. na podwieczorek.

Już z powyższego opisu zebrania w Tow. wynika, że działalność Towarzystwa obejmowała dwa kierunki: kształciła umysłowo i moralnie, nadto dopomagała materyalnie.

Pierwszy kierunek uwzględniał:

I. stan religijno-moralny;
II. stan oświatowo-społeczny;
III. potrzebę godziwej zabawy.

Koszta utrzymania bursy w r. 1916 wynosiły 13,175.90 kor. (nie licząc czynszu za lokal), z czego opłata wychowanków pokryła tylko 2,964.47 kor. Wobec tego powstał niedobór wynoszący 10.211.48 kor., który wskazuje, z jakiemi trudnościami w dzisiejszych stosunkach musi walczyć Tow., chcąc utrzymać bursę dla ubogiej opuszczonej młodzieży stanu rzemieślniczego i kupieckiego. Sprawa ta powinna pobudzić społeczeństwo nasze do tem intenzywniejszej materyalnej pomocy dla Towarzystwa.

Towarzystwo to zasługuje niewątpliwie na gorące poparcie wszystkich, którzy w młodzieży rzemieślniczej i kupieckiej widzą cząstkę narodu polskiego, a w jej zbożnem wychowaniu zadatek lepszej przyszłości. Do udzielenia tego poparcia mogą zachęcić ostatnie słowa Sprawozdania, które tu przytaczamy: „Programu pracy nie zmienialiśmy i nie zmienimy, bo przekonani jesteśmy silnie, że opierając wychowanie młodzieży przemysłowej i handlowej na zasadach wiary św. katolickiej i miłości ojczyzny — zdołamy wychować młodzież taką, jakiej Polska potrzebuje. Zdajemy sobie bowiem dobrze sprawę, jakie przed młodzieżą rzemieślniczą otwierają się pola pracy, zwłaszcza po wojnie! Kraj nasz, a nawet Polska cała, jak długa i szeroka — zniszczona, będzie potrzebowała do odbudowy rzemieślników inteligentnych i wyszkolonych w swoim zawodzie, rzemieślników rzetelnych, pracowitych, uczciwych i punktualnych: rzemieślników, którzy wytrzymać potrafią konkurencyę rzemieślnika obcego, rzemieślników, którzyby Polskę własną ręką odbudowali, bo wtedy dopiero przylgną całą duszą do Polski i powiedzą sobie i innym: Oto nasza Matka! krwią naszych ojców i braci rozkuta z kajdan — pracą naszą i poświęceniem do życia powołana, mlekiem naszej ofiary z trudu i cnoty karmiona i przy życiu utrzymywana. W wychowaniu takiej młodzieży o poparcie moralne i materyalne prosimy wszystkich, którym dobro Kościoła i ojczyzny leży na sercu — a Bóg stokrotnie zapłaci“.

Wkładki roczne członków w kwocie 6 kor. i wszelkie datki pieniężne upraszamy odsyłać na ręce skarbnika pod adresem: X. dr. A. Warszylewicz, Lwów, ul. Czarneckiego l. 30, a datki w naturze i ubraniach pod adresem: Bursa św. Stanisława Kostki, Lwów, ul. Grodecka l. 2 B. Prezesem Towarz. jest X. Kanonik K. Dziurzyński.

Księża w armii francuskiej. W czasie, kiedy parlament francuski wprowadzał ustawę, która zobowiązała księży do służby wojskowej zarówno z innymi obywatelami, byłem we Francyi — będzie temu około 20 lat. Pamiętam namiętne spory w tym czasie. Posłowie katoliccy starali się wykazać szkodliwość tej ustawy — lecz przeciwnicy byli liczniejsi a zatem tamci zostali przegłosowani.

Pomiędzy tymi, którzy występowali przeciw katolikom — wielu było takich, którzy nie mieli zamiaru walczyć z wiarą chrześcijańską; — należeli oni do grupy obojętnych w rzeczach wiary — a głosowali za wprowadzeniem ustawy, bo ta trafiała im do przekonania w myśl dewizy: „równe prawa dla wszystkich“.

Katolicy twierdzili, że księża, pozostający w swych parafiach, więcej mogą oddać usług krajowi, aniżeli ci, którzy służą w wojsku. Przeciwnicy obstawali przy swem zdaniu, że wszyscy obywatele powinni ponosić jednakowe ciężary. Ponieważ lekarze, aptekarze, profesorowie uniwersytetu odbywają służbę wojskową — niema żadnego powodu, aby uwalniać księży od tego obowiązku.

X. biskup Freppel, który był podówczas posłem i bronił wymownie interesów katolickich, dowodził, że koszary pod względem moralnym nie będą dobrem przygotowaniem dla przyszłych księży. Miał oczywiście racyę — ale posłowie antikatoliccy z oburzeniem twierdzili, że wojsko jest szkołą męstwa, honoru i miłości Ojczyzny.

Dosyć liczni posłowie przeciwnej grupy mieli znów powód innej natury, by głosować za tą ustawą. Przypuszczali, że to będzie ciosem śmiertelnym dla Kościoła katolickiego. Ich zdaniem mało księży byłoby zdolnych poddać się podobnej próbie. Wielu z prawdziwych katolików żywiło podobne obawy. Trwożyli się, że powołanie duchowne zaniknie w takiem otoczeniu. Istotnie z początku były wypadki wystąpień z seminaryum. Znałem wówczas jedną dyecezyę francuską w której sześciu uczniów zakładu duchownego zostało powołanych do wojska — żaden z nich nie powrócił więcej.

Powoli jednak młodzi duchowni przyzwyczajali się z czasem do tej próby. Nadto biskupi i inni księża czynili wszystko, co było w ich mocy, aby starania ich odniosły pożądany skutek, aby młodzi duchowni nie byli umieszczani w małych miastach garnizonowych, ale w większych, gdzie znajdowały się seminarya duchowne. Ułożono dla tego rodzaju żołnierzy mały regulamin — wieczorem po odbytej służbie mieli się gromadzić w seminaryach — gdzie było dla nich przygotowane mieszkanie, gdzie również odbywały się specyalne dla nich odczyty. W ten sposób czas służby w armii nie był zupełnie stracony — uniknęli bowiem zgubnego wpływu koszar i znaj-

dowali się w odpowiedniem dla siebie otoczeniu. Dzięki temu zarządzeniu seminaryów byli lepiej sytuowani moralnie i nie zdarzały się już wypadki wystąpień. Ci którzy nie powracali dla ukończenia studyów duchownych byli to tacy, których powołanie nie było szczerem i którzy prawdopodobnie nie zostaliby byli w seminaryum, nawet gdyby nie byli zmuszeni odbywać służby wojskowej.

Nieprzyjaciele Kościoła katolickiego pomylili się zatem, sądząc, że ustawa ta opróżni seminarya duchowne.

Były jeszcze inne okoliczności, które przyczyniły się do tego, że ta ustawa była mniej niebezpieczną niż obawiano się z początku. Lekarze wojskowi uwalniają niekiedy bardzo łatwo duchownych od wojska. Nadto oficerowie przeważnie nie są wrogo usposobieni wobec katolików — i ułatwiają im pobyt w koszarach wedle możności. Od dłuższego już czasu dzienniki socyalistyczne występują przeciw militaryzmowi i dowodzą, że oficerowie francuscy chcą rząd obalić. Jest w tem przesada. Monarchiści nie są obecnie w armii silnie reprezentowani. Dużo jednak między oficerami jest katolików. Pod tym względem wojsko najlepiej się jeszcze przedstawia. Urzędnicy bowiem, a zwłaszcza nauczyciele elementarni są przeważnie antireligijnie usposobieni, — oficerowie zaś pozostali bardzo niezależni. Generał Joffre, były wódz naczelny armii, jest katolikiem. Jego szef sztabu, generał de Castelnau należy do rodziny katolickiej i rojalistycznej. Od dłuższego już czasu dzienniki socyalistyczne nazywają go „kapucynem w butach".

Zapytywałem często księży francuskich, którzy służyli w wojsku, o warunki pobytu tamże. Odpowiedzi były różne i zależały naturalnie od charakteru osób indagowanych i od okolic, w których czas służby przebyli.

Kilku wrażliwszych i subtelniejszych uskarżało się, że cierpieli bardzo w wojsku — inni przyznali, że pobyt tam, jeśli nie trwa zbyt długo, nie jest tak niebezpiecznym, jak możnaby sądzić.

Wpływ księży na żołnierzy nie może być bardzo znaczny — jednakowoż ich przyzwoite zachowanie się daje dobry przykład i nieraz do podobnego zachęca. Słyszałem żołnierzy i oficerów, którzy przeważnie pochwalali powagę i roztropne zachowanie się księży tych, z którymi zapoznali się w wojsku. Niektórzy są zdania, że księża, którzy służyli w armii, mają później więcej wpływu na swych parafian.

Podczas tej wojny wpływ księży na żołnierzy powiększył się i dzienniki katolickie podały zajmujące szczegóły o odrodzeniu religijnem wśród wojska. Dużo księży zmuszonych było opuścić swoje parafie, by udać się do szpitali wojskowych, pielęgnować chorych i rannych. Obecność ich nie była tam bez korzyści.

Dzięki tym przygodnym samarytanom wielu żołnierzy, którzy byli zupełnie obojętni — powróciło do praktyk i wierzeń religijnych. Wielu kapłanów wysłano na front, zwłaszcza młodszych i silniejszych. Tam również wywarli wpływ skuteczny i dodatni. Spowiadają kolegów przed bitwą, albo w rowach strzeleckich — można niekiedy obserwować niezwykły widok kapłanów i żołnierzy w szeregach, odprawiających wspólną modlitwę.

Krótko mówiąc, ustawa ta, która miała odebrać duchowieństwu jego znaczenie, — wcale nie spełniła swego zadania. Trzeba jednak przyznać, że jest bardzo uciążliwą i przykrą. W początkach zostawali księża tylko przez przeciąg jednego roku w wojsku, podczas gdy innych obywateli służba trwała 3 lata. Później parlament uchwalił ustawę, która obowiązywała do służby wojskowej dwuletniej wszystkich bez wyjątku. Wreszcie w ostatnich czasach przed wojną trzeba było służyć w armii przez 3 lata. Kapłani są traktowani przytem zupełnie jak inni żołnierze, kiedy w początkach przebywali wyłącznie w szpitalach w czasie trwania służby. Było to w każdym razie odpowiedniejsze dla ich stanu duchownego — pielęgnowanie chorych — aniżeli strzelanie do ludzi. Pod innym zaś względem zarządzenie to miało tę korzyść, że kapłani byli razem. Teraz również dużo księży służy po szpitalach, ale to nie jest, jak dawniej, ich przywilejem.

Ogromnie przykre jest dla kapłanów pozostawanie przez 3 lata w wojsku. Ale prawdopodobnie ustawa wojskowa ulegnie zmianie po wojnie. Służba w szeregach będzie może dwuletnia, a może nawet tylko jednoroczna. Wojna obecna wykazała, że kilka miesięcy wystarcza dla wyszkolenia żołnierzy. Nie dużo czasu potrzeba było, aby Anglicy mogli wystawić milionową armię i ci młodzi żołnierze zupełnie, zdaje się, spełniają swoje zadania w akcyi obronnej. Jest to dowodem na korzyść tych licznych posłów, którzy żądają zmniejszenia czasu służby wojskowej.

Nie trzeba jednak wnioskować z tego, jakoby ustawa była obojętną dla katolicyzmu, wywołuje ona dużo niedogodności i trudności. Ale nie jest ona najniebezpieczniejszą ze wszystkich ustaw, które parlament francuski uchwalił od r. 1880, to jest od początku polityki antireligijnej. Najgorszą z tych ustaw była ta, która zniosła naukę religii w szkołach elementarnych. Obecnie wszyscy katolicy francuscy zgadzają się na to zapatrywanie.

X. J. Cavalier.

Szósta pożyczka wojenna.

Jeszcze nie koniec krwawych zapasów, które tak ciężko dały się we znaki wszystkim narodom europejskim, a także zamieszkującym inne części ziemi. Nie koniec jeszcze, bo Anglia, Francya i Włochy nie wyrzekły się dotąd swego marzenia, że zdołają złamać potęgę Niemiec i rozbić monarchię austro-węgierską. Ale w Bogu nadzieja, że w ciągu lata doczekamy się upragnionego pokoju. Rewolucya rosyjska wywołała, jak można było oczekiwać,[1]) ogólne rozprzężenie i anarchię w całem państwie; sprawdziły się i tu słowa Schillera: „Przed niewolnikiem drżyjcie, co zrywa kajdany — nie przed człowiekiem wolnym"! Żołnierze, robotnicy, chłopi — nie chcą już uznawać żadnej nad sobą władzy, nie słuchają rozkazów rządu, mordują oficerów, porzucają pracę, dzielą się ziemią „obszarników", żądają rozdziału dóbr klasztornych, zaprowadzenia republiki komunistycznej. Wojsko opuszcza swoje stanowiska, gromadzi się i obraduje, a dziesiątki tysięcy spieszą do swoich wiosek, bo mają dość już wojny, a nadto nie chcą się spóźnić do podziału gruntów. Wobec tego musiała Rosya porzucić plany zaborcze, myśl o zdobyciu Wiednia, Berlina i Konstantynopola, a mocarstwa środkowe nie potrzebują już, jak się zdaje, liczyć się z możliwością nowego ataku na froncie wschodnim i na granicy rumuńskiej — zastępy zaś francuskie, angielskie i włoskie nie zdołają rozbić wałów obronnych, wzniesionych przeciwko nim na wschodzie i na południu.

Położenie więc militarne państw środkowych jest takie, że pozwala spodziewać się rychłego a pomyślnego dla nich końca wojny. Niema więc powodu do obawy, że ogłoszenie szóstej pożyczki wojennej austro-węgierskiej nie osiągnie swojego celu, że ogół obywateli da się powstrzymać od udziału w niej jakąś fałszywą pogłoską lub nieuzadnioną przestrogą. Znajdą się

[1]) Por. nasz art. p. n. „Z powodu rewolucyi rosyjskiej" (nr. 13 z r. b. str. 148).

może jednostki, które będą twierdziły, że powodzenie pożyczki „przedłuży jeszcze wojnę“, albo że państwo „nie będzie mogło spłacić ogromnych długów zaciągniętych“ — ale tego rodzaju wieści i opinie nie powinny znaleźć wiary u ludzi rozsądnych. Mocarstwa bowiem środkowe dążą usilnie do jak najszybszego zakończenia wojny, a udział w pożyczce jest wobec wysokiego jej oprocentowania i zupełnej pewności jej odebrania najkorzystniejszą lokacyą kapitału.

A więc nie tylko obowiązek patryotyczny, ale i własny, dobrze zrozumiany interes, powinien nakłonić każdego, który ma pieniądze złożone albo rentujące się papiery, do wydatnej subskrypcyi szóstej pożyczki wojennej! *Redakcya.*

Bibliografia.

Dr. Stanislaus Bronislaus Langkammer. **De relativismo.** Estavayer 1916. str. 134 w 8-ce

Jest to pierwsza dopiero (o ile wiemy) publikacya młodego kapłana, Polaka, która każe nam dużo spodziewać się po nim. Ma on widocznie talent niepospolity do badań filozoficznych i odbył studya rozległe i gruntowne. Ocenia on tu krytycznie relatywizm agnostyków (zajmując się szczególniej poglądami Comte'a, Taine'a, Stuarta Mill'a, H. Spencer'a), Kanta, fideizm, woluntaryzm, pragmatyzm, relatywizm zwolenników ewolucyonizmu (Bergsona i modernistów). Rozdział ostatni traktuje o poznawaniu prawdy w myśl św. Tomasza z Akwinu. Krytyka jego odznacza się zwięzłością i bystrością, która tem więcej zasługuje na uznanie, że mowa tu o zagadnieniach bardzo trudnych i subtelnych.

Zachęcamy więc usilnie szan. Autora do dalszej pracy w tym kierunku, a mianowicie do napisania książki polskiej o sceptycyzmie. Radzilibyśmy tylko zmniejszyć ilość cytatów, których tu jest stosunkowo za dużo — i wyłuszczać rzecz z większą samodzielnością i swobodą, zamiast powtarzać tylko zdania Arystotelesa, św. Tomasza i innych scholastyków[1]). *X. P.*

Na miesiąc czerwiec: **Serce Jezusa źródło życia i świętości.** Czytania o Najśw. Sercu Boskiego Zbawiciela z przykładami. Napisał X. Ernest Matzel T. J. 12 str. i 278. Cena egz. brosz. 2·— K; karton 2·60; w płótno 3 K.

Z przyjemnością donosimy o pojawieniu się tej książki, która może oddać wielkie usługi czcig. Czytelnikom Gaz. Kość. w nadchodzącym miesiącu. Jest to zbiór czytań, przeznaczonych na wszystkie dni czerwca, z dodatkiem jeszcze 31-go dla tych, którzy chcą rozpocząć nabożeństwo czerwcowe już 31-go maja wieczorem. Jest tu więc mowa o Sercu Jezusa, jako o krynicy łask i cnót, o „Dobrym Samarytaninie“ (o Sakramentach św. wogóle), o „sercu nowem“ (Chrzest św.) o „żołnierzu Chystusowym“ (Bierzmowanie), o Mszy św. i t. d. Treść pierwszej połowy tych czytań stanowi miłość Serca Jezusowego objawiająca się nam w Sakramentach św., w drugiej zaś połowie poucza Autor o „głównych i podstawowych cnotach, które każdy czciciel Serca Jezusowego pielęgnować powinien“ (str. VI.). Liczne przykłady stanowią dobrą ilustracyę osnowy, która odznacza się namaszczeniem i praktycznością. Wysłowienie Autora jest poprawne i potoczyste. Dziełko zdobi obrazek kolorowy i liczne inicyały i winiety. *X. P.*

Z muzyki kościelnej.

Pieśni wielkanocne w opracowaniu prof. Walentego Adamczaka, organisty katedry ormiańskiej — były podczas nabożeństw wielkanocnych tamże powodem rzetelnego zadowolenia i rozradowania. Nareszcie prawdziwa kościelna muzyka w miejsce półświeckich koncertów. Chór żeński 4-głosowy zaspiewał pobożnie przepiękne nasze ludowe pieśni kościelne w umiejętnem opracowaniu, doskonale zharmonizowane, rytmicznie ożywione, głosowo efektownie się wijące — a jednak w niczem nie zatracające charakteru ludowego w skarbnicy Kościoła następujące oto pieśni: „*Chrystus Pan Zmartwychwstał*“ — „*Chrystus Zmartwychstan jest*“ — „*Wesel się ludu strapiony*“ — *Otrzyjcie już łzy*“ (przecudna pieśń!) — i „*Nie zna śmierci*“. — Co rychlej powinien znaleść się nakładca na te cenne świętości ludzi naszego!

W jubilerskie ramy oprawić z pietyzmem i poszanowaniem potrafi chyba tylko wykształcony organista, który sam z chaty wieśniaczej wyssał je z mlekiem pobożnej wieśniaczki.

Tak opracowane pieśni kościelne niechajby opanowały przy pomocy wyższych czynników chóry naszych świątyń (autora zachęcam do wytrwałej dalszej pracy na tem polu — a może raz przecież zostaną wyrugowane ze świętej służby Bożej owe niesmaczne profanacye koncertowe, którym reporterscy reklamiarze w swojej beztroskiej ignorancyi, a ku poniżaniu istotnej kultury chrześcijańskiej — nadają uparcie i trwale nagłówki: muzyka kościelna! *(mg.).*

List do Redakcyi.

Byłoby pożądanem, żeby częściej poruszano w Gazecie Kościelnej sprawę nadawania prezent na probostwa przez osoby świeckie. Jakoż niedawno pisała Gazeta Kościelna o tej sprawie (por. nr. 13 z r. b. str. 151). Może uwagi, podawane przez duchowieństwo, przyczynią się do tego, że patronat świecki będzie nareszcie w sposób pomyślny uregulowany.

Można z całą pewnością orzec, że prawie wszyscy księża są niezadowoleni z tego, iż ludzie świeccy wyznaczają ich na beneficya prywatne. Chyba taki tylko kapłan mógłby obstawać za obsadzaniem probostw przez ludzi świeckich, który o prywatne probostwo nigdy się nie ubiegał, lub który wskutek znacznych koligacyi czy znajomości otrzymał łatwo i wnet dobre beneficyum. Wyobraźmy sobie, że kler ma z dawien dawna przywilej obsadzania według swojej woli pewnych stanowisk świeckich. Czyżby taki przywilej utrzymał się w tych czasach? Co rychlej byłby zniesiony, a przynajmniej zmieniony i to byłoby słuszne. A jednak w niektórych prowincyach kościelnych pozostał dotychczas przestarzały przywilej, jakim jest patronat świecki. Przywilej każdy ma to do siebie, że dając pewnym ludziom jakieś udogodnienia, przez to prawa innych ludzi umniejsza. Otóż i patronat świecki jest dla księży wielce niewygodny, a ponadto uszczupla władzę biskupią. Bezsprzecznie każdy ksiądz zdrowy, pod względem moralnym bez zarzutu i mający egzamin proboszczowski, powinienby po dziesięciu latach, spędzonych w duszpasterstwie, otrzymać samoistną posadę. A wskutek istnienia prawa patronatu świeckiego i z jego przyczyny przeważnie, tak bywa w naszych dyecezyach, że jeden ksiądz już w piątym lub szóstym roku kapłaństwa dostaje probostwo, podczas gdy inny, wcale nie gorszy od tamtego, chociaż jak tamten posiada wszystkie warunki na proboszcza, czeka na probostwo kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt lat. I ten kapłan, choć za młodu był bardzo gorliwy, czuje się w starszych latach pokrzywdzonym, zniechęcenie go ogarnia i wtedy lichy z niego bywa robotnik. I choć później taki wiekowy wikary zostanie samoistnym duszpasterzem, niema z niego zwykle, jak doświadczenie pokazuje, wielkiego pożytku w parafii.

A dalej, jak wiadomo, są probostwa lepsze i gorsze, więcej pracowite i mniej pracowite; w jednych parafiach duszpasterstwo jest lekkie, w innych trudne. I tak samo nie wszyscy księża są jednakowi, ale różnią się jedni od drugich usposobieniem, uzdolnieniem, pracowitością, zdrowiem, zasługami, jakoteż zaletami i błędami. Nie każdy więc ksiądz będzie nadawał się na każde probostwo. A czy na probostwach patronatu prywatnego wybór duszpasterzy zawsze jest trafny? Jeżeli kolator nie dba o chwałę Bożą i nie jest religijnym, będzie dla niego rzeczą obojętną, czy kandydat na probostwo ma wszystkie potrzebne warunki. Podpisze prezentę temu, który mu się spodobał z wyglądu, lub którego popierają osoby wpływowe,

[1]) Lekturę książki utrudniają liczne błędy drukarskie, ale nie jest to winą autora, ponieważ sam nie mógł przeprowadzić korekty.

a tym przecie nie chciałby odmówić, ponieważ może ich kiedyś na co potrzebować. Pewien patron, żyjący w nieprzyjaźni z całą parafią, dla dokuczenia ludziom podpisał prezentę księdzu, którego tam nikt nie chciał. A jeśli patron nie ma ani odrobiny wiary i wobec Kościoła jest nieprzyjaźnie usposobiony, wtenczas umyślnie szuka kapłana, któryby był najemnikiem, a nie dobrym pasterzem. Pewnemu wikaremu n. p. nie podpisano prezenty, wymawiając się tem, że jest zanadto pobożnym księdzem, więc by w parafii dewocyę szerzył. A czy mało jest wypadków, w których podpisuje się prezentę księdzu z tej jedynie przyczyny, ponieważ gra doskonale w karty, albo że jest miłym i wesołym w towarzystwie? Przykro przytaczać takie przykłady fałszywego pojmowania obowiązków przez niektórych patronów, ale po co je pod korzec chować, kiedy o nich wszyscy ludzie wiedzą i mówią, a księża mogliby opowiedzieć o rozmaitych jeszcze innych nadużyciach.

Śmiało można twierdzić, że gdyby prawo patronatu było skasowane, podniosłaby się powaga duchowieństwa. Bo w istocie to uganianie się za probostwem, to szukanie poparcia, te wizyty, składane kolatorom, te nadskakiwania, aby sobie względy zjednać, to wszystko nie podnosi wcale powagi i znaczenia księży tak w oczach patronów, jako też ludności.

Jeszcze wielkie szczęście, gdy kolatorem jest człowiek rozumny, uczciwy, powszechnie poważany i zasłużony około kościoła i parafii. Ale co to za upokorzenie dla kapłana, kiedy prosi o podpisanie prezenty — człowieka o lichym charakterze, albo kiedy patronem jest lekkomyślny młodzieniec, czy też jawny grzesznik, — kiedy całą zasługą kolatora jest chyba to, że kupił za pieniądze nagromadzone z krzywdą ludzką, ten właśnie majątek ziemski, do którego jest przywiązany patronat, a na potrzeby kościelne nie dał nawet złamanego szeląga, ale za to przywłaszczył sobie część z majątku kościelnego, a sprzeciwia się zawsze, ilekroć chodzi o postawienie lub naprawę kościoła i budynków.

Wobec niewłaściwości, które wynikają z instytucyi patronatu świeckiego, a tych jest jeszcze sporo więcej, powinno duchowieństwo dołożyć wszelkich starań, aby ów przestarzały przywilej był usunięty. Zniesienie prawa patronatu powinno być „celerum censeo" wszystkich kapłanów. Trzebaby zatem odpowiednio opinię urabiać, a jeżeliby natychmiastowe usunięcie było niemożliwe, to powolne i stopniowe usuwanie będzie łatwiejsze do wykonania.

X. J. T.

Wiadomości dyecezyalne.

Arch. lwowska ob. łać.

Instytucyę kanoniczną na kanonię w Kapitule metropol. otrzymał X. Kazimierz Dziurzyński, katech. IV. gimn. we Lwowie.

Przeniesiony X. Stanisław Kołychanowski, koop. w Żółkwi, na posadę koop. do kościoła Św. Elżbiety we Lwowie.

Dyecezya tarnowska.

Przeniesieni XX.: Jan Kowal, admin. w Przecławiu, na wik. do Radomyśla wielkiego; Jan Cebula, wik. z Radomyśla w. na ekspozyta do Gołkowic; Henryk Weryński z Krościenka do Chełmu; Michał Kuc z Chełmu do Nowego Sącza.

Instytuowany X. Andrzej Jaroch, ekspozyt w Gołkowicach polskich, na prob. w Przecławiu.

Wykaz listów zastawnych

galicyjskiego Towarzystwa kredytowego ziemskiego

wylosowanych w dniu 5. maja 1917 roku

4 prc. 56-letnich przy 57 losowaniu w sumie 216.000 K.
4 i pół prc. 52-letn. przy 5. losowaniu w sumie 11.600 K.

4% 56-letnie.

Ser. I. Wal. kor. a 20.000 kor.: 61, 287, 2474, 3452, 6674, 6730.

Ser. II. Wal. austr. a 10.000 kor.: 1422, 3132, 4561, 5754, 7298, 9675, 10888.

Ser. III. Wal. kor. à 2.000 kor.: 6975, 25512, 27761, 37995, 39040, 43175, 45559.

Ser. IV. Wal. kor. à 1.000 kor.: 1321, 1644, 4498 5633, 6065, 6272, 6522, 7086, 14201, 14997.

Ser. V. Wal. austr. a 100 fl.: 368. Wal. kor. a 200 K: 5262, 7414, 8968, 9733, 14186, 22105, 27470, 29473, 36677.

4½% 52-letnie.

Ser. III. Wal. kor. à 2.000 kor: 650, 673, 1387 1461, 1493.

Ser. IV. Wal. kor. à 1.000 kor.: 1373.

Ser. V. Wal. kor. à 200 kor.: 573, 1724, 2025.

Dyrekcya galicyjskiego Towarzystwa kredytowego ziemskiego wzywa niniejszem posiadaczy powyższych listów zastawnych, aby się po wypłatę kapitału od dnia 30. czerwca 1917 począwszy, do kasy tegoż Towarzystwa we Lwowie zgłosili, ponieważ procentowanie tych listów zastawnych z oznaczonym dniem ustaje i gdyby kupony za dalszy czas wypłacone były, będą przy odbieraniu kapitału potrącone.

We Lwowie, dnia 5. maja 1917.

Przedruk nie będzie płacony.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: X. Dr. Aleksander Pechnik. Z drukarni J. Chęcińskiego we Lwowie, ul. L. Sapiehy 17.